



Zjazd Miłośników ojczyźtych zabytków sztuki i historii w Krakowie.

W dniach 3 i 4 lipca r. b. odbył się w Krakowie zapowiedziany zjazd miłośników ojczyźtych zabytków sztuki i historii, gromadząc przeszło 100 uczestników ze wszystkich trzech zaborów. Oprócz urzędowych konserwatorów przybyli przedstawiciele instytucji kulturalnych, zajmujących się ochroną zabytków w miastach i na prowincji. Liczny był udział księży, architektów i innych artystów oraz przedstawicieli prasy. Pokazało się, że inicjatywa obu galicyjskich Gron konserwatorów znalazła silny oddźwięk w naszym społeczeństwie.

Celem zjazdu, jak zaznaczył w mowie powitalnej prezes Komitetu, Dr. St. Tomkowicz, było porozumienie się konserwatorów urzędowych z duchowieństwem, z artystami i miłośnikami przeszłości w sprawie zasad opieki nad zabytkami, ustalonych przez dotychczasową naukę i wzbogacanych codziennym doświadczeniem, a choć różnice zdań są dość znaczne, jednak



GRUPA UCZESTNIKÓW ZJAZDU NA TLE RUIN TENCZYNA

fol. S. Warcholik.

sam fakt zainteresowania się tak licznych sfer tematami zjazdu daje rękojmię, że z chaosu zapatrywań wyłoni się i rozpowszechni w naszym społeczeństwie zdrowy pogląd na



sprawę. Zjazd odbywa się nadto pod wrażeniem radosnego faktu, a mianowicie oddania przed paru dniami przez Zarząd wojskowy całego Wawelu w ręce kraju. W chwili obecnej już ani jeden żołnierz nie przebywa na górze wawelskiej.

Obrady zjazdu i dyskusje toczyły się głównie na tle wygłoszonych w auli uniwersytetu odczytów.) Streszczenie myśli przewodnich tych odczytów będzie najwierniejszym odzwierciedleniem poglądów, panujących w sferach najbardziej kompetentnych na pierwszorzędne kwestye konserwatorskie.

W odczycie pierwszym, p. t. Stan dzisiejszy nauki o konserwacyi zabytków, Dr. J. Muczkowski poprzedził wskazanie wytycznych zasad związłym przeglądem historycznym stosunku społeczeństwa i umysłów przodujących do zabytków. Pomijając krótki okres renesansu włoskiego, który świeżo odkryte dzieła greków i rzymian uważał za jedynie godne zachowania, wieki późniejsze aż do XIX nie troszczą się o konserwacyę pomników przeszłości w dzisiejszym znaczeniu. Naprawiano je wprawdzie i uzupełniano, ale nie dbając o żadną zasadę teoretyczną. Dopiero wiek XIX badaniami nad historią sztuki i kultury podniósł do najwyższej skali wartość historyczną zabytków, ale też jednocześnie przyczynił się do wytworzenia zgubnej w skutkach teorii o jednolitości i czystości stylowej, do której starano się doprowadzać zabytki, ogalając je ze wszystkiego, co do pierwotnej budowy z biegiem czasu przybyło. To też pierwsze dziesiątki wieku XIX zarówno we Francji jak i w Niemczech splamiły się bezlitosnym przekształcaniem najwspanialszych zabytków

sztuki, przyczem panująca romantyka i szczególne umiłowanie średniowiecza zabraniały tworzyć w duchu nowożytnym, a przy restauracyi znieważały do usuwania wszystkiego, co nie trąciło wiekami średnimi. Puryzm stylowy doprowadził ostatecznie do fałszowania zabytku i jego historii przez zastępowanie późniejszych dodatków nowymi w stylu epoki pierwotnej. Talent i znanstwo genialnego wyznawcy tej zasady Violet-Le-Duc'a nie zmniejsza bynajmniej wrażenia historycznego fałszerstwa, jakiego się doznaje dzisiaj na widok odrestaurowanego „stylowo” zamku Pierrefond lub krzyżackiego Malboga. Koniec XIX i początek XX w. sprowadzają reakcyę, wytwarzając nieznanę dotąd pojęcie wartości starożytnej zabytku. Zabytek jest organizmem, do którego rozwoju nie wolno nikomu się wtrącać, a rzeczą człowieka jest co najwyżej chronić go przed przedwczesnym zanikiem. Kult dla zabytku przyznaje niszczącemu działaniu sił przyrocy wartość i chronić go powinien od wszelkiej restauracyi. Wartość starożytnicza przemawia silniej do uczucia każdego, niż wartość historyczna, która opierając się na podstawach naukowych, dopiero przez refleksyę rozumowę może być wywołana. Bezwzględny apostoł tego kierunku John Ruskin uważa restauracyę zabytków za najobrzydliwsze ze wszystkich fałszerstw. Kult wartości starożytnej, jakkolwiek zaczyna powoli przenikać społeczeństwo, ma do zwalczenia nowe pojęcie wartości nowożytnej, która domaga się, aby dzieło sztuki było harmonijną zamkniętą w sobie całością, a jednocześnie, aby budynek żywy był zdrowy i silny, aby nie nosił na sobie śladów zniszczenia i aby go ożywiały duch nowożytny.

1) Prezesem zjazdu wybrano arch. J. Dziekońskięgo z Warszawy, wiceprezesami: ks. kan. Mrozowskięgo z Warszawy i prof. Hadaczka z Lwowa. Imieniem ministeryum oświaty i Centralnej Komisji konserwatorskiej w Wiedniu powitał zjazd Dr. J. Kieszkowski, imieniem m. Krakowa wiceprezydent J. Sare.

Należy też zaznaczyć, że jakkolwiek zjazd krakowski był pierwszym na większą skalę zorganizowanym zjazdem, to jednak poprzedziła go inicjatywa Warszawy, a mianowicie zwołana przez warszawskie Towarzystwo Opieki nad zabytkami w dniach 8, 9 i 10 maja 1909 r. konferencya konserwatorska z udziałem delegatów z Galicyi i Poznania. Następnie odbyły się jeszcze dwie wspólne wycieczki konserwatorskie do Częstochowy i do Sulejowa w dniach 2 i 3 maja 1910 r.

Konkluzye prelegenta zmierzają do pogodzenia pietyzmu dla wartości starożytnej zabytku ze zmysłem dla sztuki nowożytnej. Im więcej okażemy swobody w nowych dodatkach przy starych budowlach, tem częściej i cenniej wystąpi na jaw artystyczna spuścizna ubiegłych wieków. Duchowieństwo, jako pierwszy stróż i opiekun zabytków, może wyrzucić przemożny wpływ na dzisiejszą sztukę, ale jak Chrystus Pan wypędził kupczących ze świątyni, tak duchowieństwo nasze niech wypędzi z kościołów partaczów i fuszerów. Hasło zaś nasze powinno być: konserwować—nie restaurować. Przy budowlach użytkowych niech wszelkie konieczne do-



datki i rozszerzenia będą wykonane w duchu współczesnej sztuki, ale tak, aby harmonizowały z dawną całością. To, co się zachowało, ochronić i utrzymać; tego co zginęło, nie odtwarzać. Ze szczególną pieczołowitością traktować budowle, które się dochowały w jednolitym stylu; późniejsze bezwartościowe dodatki usuwać, ale z wielką ostrożnością. Budowle zamarłe oraz ruiny zostawiać, zabezpieczając je tylko przed przedwczesnym rozkładem.

Drugi odczyt, Dra. St. Tomkowicza, niósł tytuł: *Stosunek muzeów sztuki do ochrony zabytków*. Stwierdziwszy fakt, że żyjemy obecnie pod znakiem muzeów, które się rozwijają coraz wspanialej, a z drugiej strony, że coraz częściej dają się słyszeć głosy: „precz z muzeami, to cmentarze sztuki” prelegent przeprowadził drobiazgową analizę, ilustrowaną licznymi przykładami, wszystkich dodatnich i ujemnych stron idei muzealnej. Muzea przechowują i konserwują najlepiej dzieła sztuki, które pozostawione swemu losowi nieraz narażone bywają na niebezpieczeństwo zniszczenia lub wywiezienia zagranicę. Muzea są znakomitemi szkołami dla fachowców, są seminaryami badaczy a jednocześnie w sposób łatwy i pogładowy kształcą szeroki ogół. Z drugiej strony muzea, wrywając przedmioty z ich tła i otoczenia, pozbawiają je znacznej części ich artystycznej wartości, pozbawiają je życia, uroku poezji i wspomnień z danym miejscem związanych, pozbawiają je siły bezpośredniego działania na człowieka. O ile więc zabytki ruchome mogą pozostać na swym miejscu, we właściwym środowisku i otoczeniu, o ile tam zapewniony jest ich byt i bezpieczeństwo, nonsensem, grzechem byłoby dla rozpowszechnionej dziś manii muzealnej przenosić je do muzeum. U nas tak liczne kościoły, zwłaszcza większych miast, są same najlepszymi azyłami sztuki. Ogałanie ich z zabytków byłoby dla idei prawdziwej ochrony klęską. Tam one żyją — w muzeach są niejako żywcem pogrzebane. Gdy jednak



OPUSZCZONA ŚWIEŻO PRZEZ
WOJSKO CZĘŚĆ WAWELU (u
stóp baszty sandomierskiej)

fol. S. War. holik.

dzieła sztuki, znajdujące się na głuchej prowincji lub w rękach niepewnych, zakwalifikowane zostaną do muzeum, należy je, w naszych zwłaszcza warunkach, oddawać do większych muzeów stołecznych, gdyż tylko one dają gwarancję dobrego umieszczenia i bezpieczeństwa. Zbieracze i dyrektorowie muzeów powinni zawsze pamiętać, że gromadzić należy zabytki, którym inaczej groziłaby zagłada lub wywiezienie z kraju; muzea bowiem same sobie nie mogą być celem — są tylko środkiem do celów wyższych, idealnych.

Dalszy odczyt, p. t.: *Polskie kościołki wiejskie i ich konserwacja*, wygłosił ks. Gerard Kowalski, o. cist. Przytoczywszy ciekawą statystykę kościołów w Polsce, drewnianych i murowanych i pogłębując uczyńnych na charakter stylowy budownictwa kościelnego u nas od najdawniejszych czasów, prelegent podniósł szczególne znaczenie dla poznania rodzimej kultury i sztuki kościołków wiejskich, zwłaszcza drewnianych, których architektura przechwała nam najdawniejsze formy i najswobodniej je stosowała i rozwijała.

Konserwacja tedy tych zabytków powinna być dla nas szczególną troską. Ale rzucenie niedawno hasło: konserwować a nie restaurować, wywołało w sferach duchowości pewien niepokój. Nie można pozwolić, by kościoły stały się muzeami, służba boża wymaga pewnej oddolności, a lud nie odczuwa patyny wieków. Odpowiedź na to: każdą najsluszniejszą zasadę można doprowadzić przez fałszywą interpretację do absurdu. To też pozostawienie niejednego kościółka, nadwyręzonego zębem czasu bez ratunku, byłoby przyspieszeniem jego ruiny. Kult religijny wymaga odpowiedniego wyglądu kościoła, ale nie sztucznej nowości i taniego błyskotliwego efektu. Lud zaś nasz nie jest pezbawiony pewnego wrodzonego konserwatyzmu. Wchodząc w szczegóły zasad konserwacji, zgodnych z postulatami odczytu pierwszego, prelegent ostrzegł przed rozszerzaniem wiejskich



kościółków drewnianych, gdyż rzadko który z powiększonych kościółków zadowala tak pod względem estetycznym, jak i praktycznym. Trudny problem artystycznego rozwiązania kwestyi archeologicznych i liturgicznych wymaga ścisłego współdziałania powołanych czynników. Pierwszym jest kapłan, stróż zabytku i gospodarz domu bożego. On powinien domagać się, aby świątynia odpowiadała potrzebom kultu i przepisom liturgicznym. Strzedz się przytem musi, by nie pomieszać swych własnych upodobań artystycznych z przepisami liturgii. Konserwator bronić ma całości zabytku przed zniszczeniem i fałszowaniem. Architekt-artysta staje tu jako kontynuator wiecznej sztuki, a zarazem jako dziecko swojego wieku, które składa daninę własnej twórczości imieniem współczesnego pokolenia.

O zadaniu współczesnej architektury chrześcijańskiej mówił w obszernym wykładzie ks. Wł. Górzynski z Włocławka. Oto pokrótce bieg jego myśli. Wszelkie zmiany, którym podlegała świątynia chrześcijańska, od jej zawiązku w kryptach katakumbowych aż do początku zeszłego stulecia, wywołane zostały przez coraz nowe w dziejach kościoła wyłaniające się potrzeby. Potrzeba pomieszczenia duchowieństwa, potrzeba osłonięcia stojących na cmentarzu wiernych, potrzeba przeniesienia relikwii z katakumb do wnętrza miasta, potrzeba oddzielenia mężczyzn od kobiet, potrzeba zabezpieczenia od niespodziewanego napadu i t. d. wytwarzały kolejno wciąż nowe formy. I tak było przez wieków 18 aż do nie szczęsnego zwrotu architektury ku stylom minionej przeszłości. Zwłaszcza naśladowanie gotyku z jego niezrozumiałą dla dzisiejszych pokoleń symboliką wpłynęło na zastój architektury kościelnej, siejąc fałsz zamiast prawdy i nie odzwierciedlając bynajmniej uczuć religijnych współczesnego pokolenia. Tymczasem zarówno potrzeby, jak i symbolika, — ów język allegoryczny kościoła katolickiego, ulegają zmianom. Dzisiaj wiele koniecznych dawniej potrzeb znikło (jak wydłużone presbiterium, wyniosła wieża i t. d.), a powstały potrzeby nowych ubikacyi (kaplica ogrzewana, kaplica pogrzebowa, sala dla organizacyi społecznych katolickich i t. d.). Uwzględnienie przez współczesną architekturę tych potrzeb wytworzy z konieczności nowe

kształty, które znów otworzą pole do szczerych artystycznych pomysłów. Ale stylu czyli sposobu, w jaki artysta wykonywa dzieło sztuki, nie wolno narzucać architektom, jak to czynił wiek XIX. Dla odrodzenia architektury chrześcijańskiej należy wrócić na tę starą i doświadczoną już przez 18 wieków drogę, na której tak wspaniałą odbyła ewolucyę, idąc zawsze równoległe z rozwojem architektury świeckiej, z której tak lekkomyślnie przed wiekiem zбочyła.

Na tle tych czterech gruntownych odczytów, które mają wyjść w druku, odbyła się, jak wspomniałem, ożywiona dyskusya. Uchwał zadanych nie powzięto, nie było to bowiem zadaniem zjazdu, ale poruszono przytem cały szereg doniosłych spraw i życzeń, jak inwentaryzacyi zabytków, nauki historii sztuki i zasad konserwacyi w seminaryach i na kursach popularnych, założenia muzeum odlewów rzeźbiarskich i t. d. Nawoływano przytem gorąco do wspólnej zgodnej pracy konserwatorów, duchowieństwa i architektów.

Interesującym również dla uczestników zjazdu, zwłaszcza zamiejscowych, było zwiedzenie kościołów św. Krzyża, P. Maryi, ro. dominikanów, oraz katedry zamku na Wawelu i dwóch restaurujących się w Rynku kamienic (Szarej kamienicy i pałacu Jabłonowskich). Odczyty p. J. Makarewicza: Konserwacya dawnych obrazów (w klasztorze oo. franciszkanów), p. K. Wyczyńskiego: Konserwacya ruini Dra Golińskiego: Wpływ i znaczenie roślinności dla konserwacyi ruin (na tle ruin zamku tenczyńskiego), uzupełniły bogaty program naukowy odbytego zjazdu. Nie bez znaczenia była i strona jego towarzyska, dając sposobność ludziom służącym wspólnej sprawie na odległych nieraz krańcach naszej ojczyzny zaznajomienia się i zaprzyjaźnienia podczas wspólnych wycieczek i bankietu, owianego serdecznym nastrojem.

Sprawa więc opieki nad zabytkami jest, jak widzimy, nie tylko na zachodzie ale i u nas jednym z najdonioślejszych zagadnień kulturalnych naszej epoki. Wyrósłszy z pietyzmu dla przeszłości i podziwu dla piękności rzeczy dawnych, stała się szczególnie aktualną i piekącą z chwilą, gdy niebywały rozrost miast i duch budowlany nowożytny stworzyły nową przeszkodę



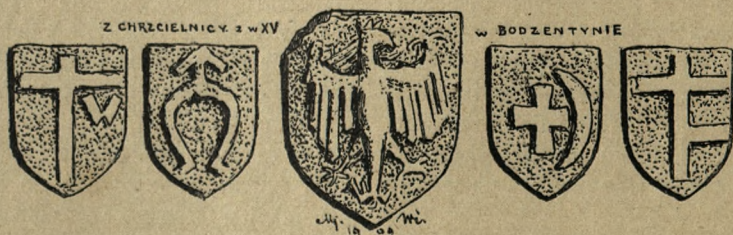
na drodze tych, którzy o zachowanie zabytków walczą. A walczą narazie tylko jednostki, stowarzyszenia artystyczno-kulturalne i bardzo nieliczni przedstawiciele sfer rządzących. Walka ta często bywa bezskuteczna, bo rozбивa się o prawa prywatne jednostek. Obok więc agitacji i uświadamiania społeczeństwa o znaczeniu pomników przeszłości, staje na porządku dziennym ważna sprawa ustawowej ochrony zabytków, która już w wielu krajach poczyniła znaczne postępy. Niepodobna nie wspomnieć o tem przy sposobności odbytego zjazdu, który mając inne cele agitacyjne, tej kwestyi do programu swego nie wciągnął!

Jeszcze jedna nasuwa mi się uwaga. Mimo gruntownie opracowane referaty i bardzo interesującą dyskusję, stosunkowo za mały położono nacisk na samą pracę, uczucie i intuicję artysty-architekta przy konserwacji lub restau-

racy zabytku. Słusznie podnoszono, że teoria nie wystarcza, że każdy wypadek należy traktować indywidualnie. Ale zdanie to powinno być zwrócone nie tyle do konserwatorów, opiekunów i duchowieństwa, ile właśnie do tych ludzi fachowych, którzy ostatecznie projekty rysowane konserwacji i restauracji przygotowują i robotami technicznymi kierują. Od ich specjalnego talentu konserwatorskiego, intuicji, uczucia i zdrowego sądu, zależy niezmiernie dużo. Wybór odpowiednich artystów-architektów w sprawach konserwacji jest więc rzeczą pierwszorzędną doniosłości.

Zjazd, odbyty w Krakowie, udał się w całym znaczeniu tego słowa, a inicjatorom jego należy się szczerą wdzięczność.

Jerzy Warchałowski.



PRZEZ WYŻYNĘ MAŁOPOLSKĄ.¹⁾ 6)

Dziennik wycieczki.

W innym miejscu obejrzałem wyrobiska t. j. chodniki, z których wydobyto rudę; tymczasem stoją one bezużyteczne, ale zostaną zasypane gruzem skalnym.

Jeżeli chodnik natrafi na duże gniazdo rudy, to po wydobyciu galmanu tworzy się wielka pieczara, którą później zasypują gruzem. W czasie prowadzenia robót pozostawia się na środku kolumnę skalną, t. z. nogę, podpierającą sklepienie, ale nie zawsze taka noga uchroni jaskinię od zawalenia się.

Ludzie tu nie są wcale tchórzliwi, albo, powiedzmy lepiej, jedni są chciwi a drudzy biedni, gdyż w jednej z takich pieczar widziałem spokojnie pracujących górników, pomimo tego, że sklepienie trzeszczało, grożąc zawaleniem. Wprawdzie gdzie-

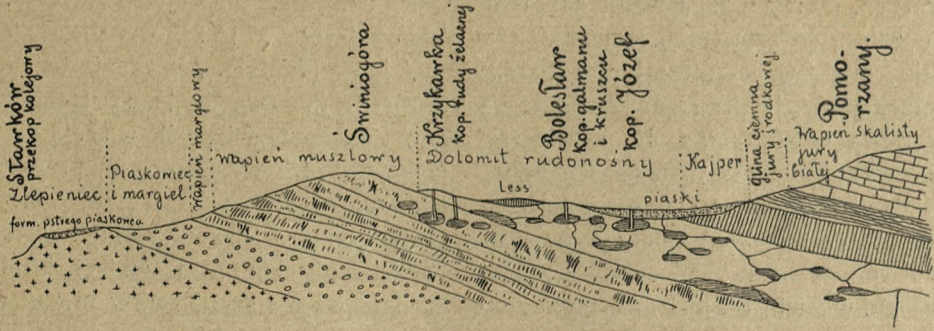
niegdzie przebito szyby (świetlniki) dla odświeżania powietrza, ale to częściowo tylko odpowiada celowi.

Chodniki boczne są niskie, o bardzo nierównej powierzchni ścian i stropu, to też ilość guzów na głowie coraz mi się zwiększała, gdyż jakkolwiek szedłem pochylony, to jednak nie zawsze zauważyłem większy występ skalny, tembardziej, że trzeba się było pilnować, ażeby nie być przejecha-ny przez jakiś wózek.

Kiedy mój przewodnik spostrzegł, że za mało się dotychczas zabłociłem, a i guzami na głowie nie martwię się, oświadczył mi, że dotychczas spacerowaliśmy po Łazienkach, a do kopalni, na Duklę dopiero teraz idziemy. Dukla jest najniższym poziomem, jest ona położona poniżej poziomu sztolni Czartoryskiej, osuszającej kopalnię „Ulises”.

Górnicy pracują tam, stojąc po kostki w wodzie, wypływającej strumieniami ze szczelin gęsto rozsianych w ścianach i stropie. W przeciagu kilku

¹⁾ W № 26 „Ziemi” na str. 429 szp. II wydrukowano mylnie ad 5) orlit zam. j. być pow. oolit.



PROFIL GEOLOGICZNY OKOLIC OLKUSZA (pg. Kontkiewicza)

minut zostałem tak zmoczony, jak po największej ulewie. Za postawiony kołnierz spływała woda, w oczach i uszach zarówno jak i obuwiu też jej nie brakowało. Skórzane ubranie nie zupełnie zabezpiecza od wilgoci, szczególnie, jeżeli się tu przebywa dłużej, jak górnicy. Wszyscy oni chorują na reumatyzm, ale to nie wpływa na porzucenie pracy, wszak rządzi nimi głód-mocarz; o pracujących na Dukli mówią tu, że kurują się w Ciechocinku, a kuracja taka trwa dopóty, dopóki kuracjusza reumatyzm zupełnie nie połamie. Jakże żałowałem, że nie było tu ze mną poła robotniczego, który na zjeździe górników zgodził się na uchwałę cofającą tutejszym robotnikom ubrania skórzane; możeby ten obraz zachwiał jego poglądy na sprawy społeczne.

Z Dukli wydostaliśmy się chodnikiem, wiodącym pod górę, do sztolni Czartoryskiej; jest ona wązkim, niskim, 2800 metrów długim kanałem podziemnym, odprowadzającym wodę z kopalni. Sztolnia odpowiadała w zupełności swemu zadaniu, dopóki nie zapuszczono chodników niżej jej poziomu; obecnie z poziomów niższych wodę ściągają do sztolni za pomocą pomp ręcznych, ale takie urządzenie pozwala zupełnie dobrze na próchnienie kości tych górników, którzy pracują w Dukli. Sztolnia Czartoryska została pogłębiona i przedłużona w ubiegłym stuleciu; wpoprzek niej na skalnych występach ścian poukładano belki, na tych zaś poprzekładano wzdłuż deski, po których chodzą umyślni dozorce. Wędrowka sztolnią nie wydała mi się zbyt bezpieczna; w niektórych miejscach desek nie było, a częściej nie można było im ufać; wprawdzie woda była najwyżej metr głęboka, a ja, wybierając się na wycieczkę, zawsze decyduję się na zмокnięcie, ale tu można było przy kąpieli złamać nogę, a nawet spowodować wybuch acetyleny, który palił się w naszych lampach.

Zmęczeni uciążliwą drogą odpoczywamy, przyglądając się pstrągom, pływającym w przejrzystej zimnej wodzie; przyjemnieby było wyprostować się, ale czeka nas przed tą przyjemnością jeszcze $1\frac{1}{2}$ kilometra drogi chyłkiem po belkach.

Sztolnia przechodzi przez konglomerat, różnokolorowe gliny pstrego piaskowca, żółty röthycki margiel i wapien muszlowy. Co paręset metrów przechodzimy pod świetlnikiem — szybem przebitym ponad sztolnią, przyczem zauważyłem, że głębokość szybów zmniejsza się, co wróży rychły koniec sztolni. Około szybu № 10 sztolnia zmienia swój wygląd; ściany i strop stają się gładkie, jakby murowane—to stare roboty z XVIII wieku, wykute pracowicie przez więźniów z pomocą młota i dłuta, gdyż nie rozsadzano wtedy skał materiałami wybuchowymi. 476 sążni przechodzimy pomiędzy temi gładkimi ścianami, które prowadzono w ciągu 40 lat, co może dać pojęcie zarówno o twardości dolomitu rudonośnego, w którym przebiega tu sztolnia, jak i wytrzymałości przodków naszych, a może i bezwzględności dla więźniów. Po przejściu 2,800 m. sztolnią, wychodzimy obok przystanku Bukowna na powierzchnię ziemi, gdyż i sztolnia dalej już płynie w przekopie, wpadając w końcu do Sztoly.

Powróciwszy górą do miejsca, skąd rano wyruszyłem, przebrałem się z powrotem w swoje ubranie, umyłem i poszedłem do sortowni szukać okazów. Sortowanie odbywa się ręcznie pod gołym niebem; pracują tu prawie wyłącznie młode dziewczyny, odrzucając galman zależnie od jego procentowości na oddzielne miejsca. Wybrałem sobie ładne okazy galmanu ($ZnCO_3$), blendy (ZnS), kryształów galeny (Pbs), piryty (FeS_2), przechodzącego w limonit, dolomitu ($MgCO_3, CaCO_3$) szarego, czarnego i in.

Po zwiedzeniu największej w kraju i państwie kopalni cynku „Ulises” przeniosłem się do drugiej i ostatniej kopalni „Bolesław”. Początkowo wydobywano tu galman na odkrywke, ale później przeprowadzono szyby i sztolnię, odprowadzającą wodę do Białki. Poziom sztolni Bolesławskiej jest wyższy niż Czartoryskiej, a kopalnia mniejsza niż poprzednia. Dzięki uprzejmości zawiadowcy kopalni, p. Cisowskiego, otrzymałem dozorce, który mnie znów oprowadził po kopalni i odkrywce, gdzie wystę-



pują bardzo ładnie czerwone i błękitne gliny tryasowe.

Z kopalni udałem się do płóczki mechanicznej; tam już czekał na mnie technik, który z polecenia p. Cisowskiego udzielał mi wyjaśnień zawodowych.

Przywiezioną wózkami rudę wysypują na ruszt, zatrzymujący bardzo duże bryły. Pod rusztem przesuwają się transmisja sufladowa, która przesiany przez ruszt materiał wynosi i wysypuje do wysoko położonych bębna. Po drodze ruda moczy się w wodzie, a drobniejsze kawałki wylatują przez otwory w ścianach bębna. To, co nie przeszło przez otwory pierwszego bębna, wraca na ruszt, to, co przeszło, idzie do drugiego bębna z mniejszymi otworami; tu znów drobniejszy materiał przesiewa się przez otwory w ścianie bębna, a grubszy pozostaje. Kawałki rudy, jakie wydostały się z drugiego bębna, przechodzą teraz do szeregu następnych, z których każdy ma mniejsze otwory, przepuszczające coraz drobniejsze kawałki. W ten sposób rozdrabnia się rudę, a jednocześnie woda wymywa zanieczyszczające ją tlenki żelaza i inne domieszki. W końcu materiał z wodą wysypuje się na płaskie, trójkątne, poruszające się ruchem wahadłowym tafle metalowe. Galena (mając ciężar właściwy większy), zsuwa się z tafli prędzej i bliżej, a galman później i dalej. Zatrudnione przy płóczce dzieci chwytają spadłe kawałeczki i wrzucają je do skrzyń, oddzielnie galman, a oddzielnie galenę. Teraz kawałki rudy nie przewyższają wielkością swoją orzecha laskowego i w takim stanie mogą już być odsyłane do hut.

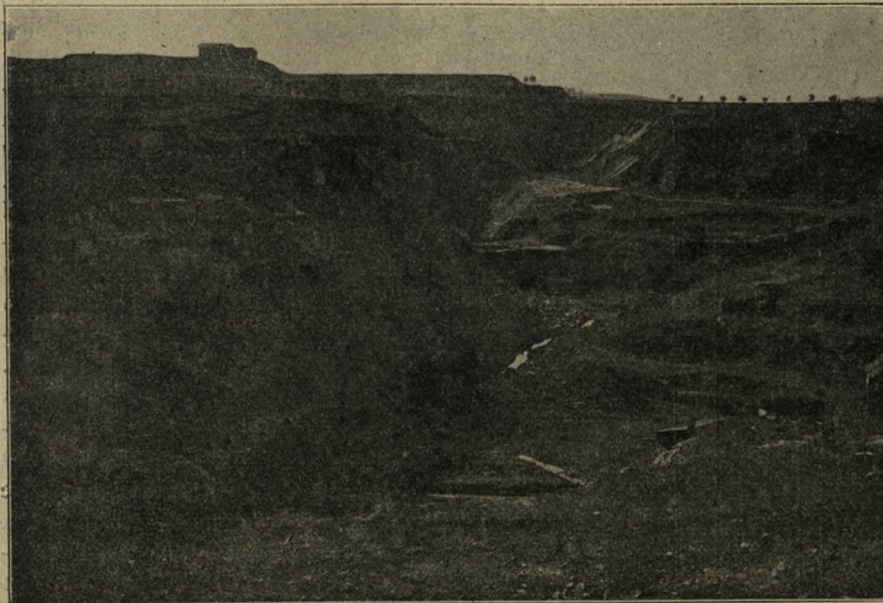
Oprócz zaznajomienia się ze sposobami płókania rud miałem sposobność przekonać się, jak łatwo w fabryce o wypadek. Przez oszczędność tu, jak i wszędzie, maszyny są ustawiane blisko siebie; często musiałem przechodzić schylony pod transmisjami lub przeciskać się pomiędzy kołami. To też byłbym sam został rozsortowany na ruszcie, gdyby mnie nie zatrzymano. Ten wypadek najzupełniej usprawiedliwił mi tablice wywieszane na bramach fabrycznych, głoszące, że wstęp osobom obcym surowo wzbroniony; wprawdzie robotnicy też są stale narażeni, ale oni wprawieni są do wymijania niebezpieczeństw.

Przed opuszczeniem Bolesławia rozejrzałem się raz jeszcze po okolicy. Z wyniosłości obok odkrywki roztaczał się rozległy widok; na południu widać było lasy Galicyi, a hen na horyzoncie nawet Karpaty, z północy krajobraz ograniczała pustynia Błędowska, do której skierowałem swe kroki.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy stanąłem na południowym skraju największego w Królestwie płatu piasków. Gliny kajprowe pokrywały tu na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych lotny piasek, nadając krajobrazowi charakter nieznanu u nas. Z północy, wschodu i zachodu pustynia jest odkryta i tylko w oddali widnieją lasy sosnowe, zasypane na brzegu diunami. W pobliżu północnego krańca piasków rozłożyła się wieś Błędów, a od nazwy tej wsi całą pustynię nazywają Błędowską. Bo też na nazwę pustyni w zupełności zasługuje. Są tu diuny, są fulguryty, dreikantery, a gąbki krzemionkowe na miejscu ulegają korrozji, rozcierając się na piasek. Roślinności ani śladu, jednak nie z powodu suchości klimatu (jak w krajach gorących), a jedynie dlatego, że piasek dobrze przepuszcza wodę, która zbiera się pod nim w glinach kajprowych i w ten sposób uniemożliwia wytworzenie się gleby na suchej powierzchni.

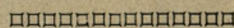
(DN)

Stanisław Lencewicz.



ODKRYWKA KOPALNI BOLESŁAWSKIEJ

fol. R. Choćewski.





DWORY, ZAMKI i PAŁACE.

31. Zamek w Siewierzu.

„Kradnij, zabijaj, jeno Siewierz omijaj”, mówi stare przysłowie z tych stron, ponieważ doraźne prawo szubienicy strasznie było dla złodziejów i rabusiów na tem pograniczu śląskiem.

Stare są dzieje Siewierza, skoro pierwsza wzmianka o zamku Sevor pochodzi z roku 1163, kiedy nadano ów zamek niejakiemu Wichrydowi, z Niemiec przybyłemu. Znany Zbigniew Oleśnicki kupuje ziemię i księstwo siewierskie od Waclawa Cieszyńskiego. Ale że dwaj bracia tegoż Waclawa sprzeciwiali się sprzedaży, przeto Oleśnicki z orę-

żem w rękę musiał praw swoich dochodzić, zanim Siewierz posiadał. Jan Rzeszowski użył był tytułu „Dominus et Princeps Ducatus Severiensis” i odtąd już następcy jego tytułują się książętami siewierskimi, mają prawo miecza, kują pieniądze, a nad szlachtą w tym okręgu sprawują władzę panów udzielnych. Zamek siewierski, stojący na kępie wśród obszernego stawu, podźwignął i przyozdobił Piotr Tomicki. Inny biskup, Franciszek Krasiński, nakazał obywatelom płacić podatek na opatrzenie i utrzymanie tego gmachu w dobrym stanie. Często przebywali na siewierskim zamku biskupi, a zamieszkiwał tam biskup Kajetan Soł-

tyk. Zamek ten piękny, piętrowy w stylu gotyckim, z wieżą 8-kątną, zakończoną baroko. W końcu zeszłego wieku upadło księstwo siewierskie, którego ostatnim księciem-biskupem był biskup Feliks Paweł Turski. Obecna ruina zamku ma kształt mniej więcej kwadratu, z bramą i basztą na niej od strony północnej. Ta brama pod basztą ma jeszcze dobre ciosowe odrzwia, równie jak znajdująca się obok lukowa furta. W baszcie ponad bramą są dwa rzędy strzelnic, a w górze małe okienko. Mury z kamienia i cegły trzymają się wybornie; przechowały się nawet na nich tu i owdzie powyrzeźbiane na tynku rysunki. Jednakże w różnych miejscach mur już pęka, a baszta od strony południowej ma liczne rysy. Wszedłszy na dziedziniec, spostrzeżesz zewnątrz już to jakiś filarek, już resztkę ozdobnego gzymsu. Gmach zamku zdaje się wznosić na



ZAMEK W SIEWIERZU

fol. L. Ostaszewski.



starem rumowisku czy może sztucznie usypanem wzniesieniu. Na wschód zamku płynie Czarna Przemsza, na południe jest wieś Kuźnica Świętojańska, na północ — Piwoń i Dziewki, na zachód miasto Siewierz. Siewierski zamek stoi za miastem na uboczu, otoczony naokoło kotłina, którą dawniej napelniała woda; no i wał ziemny opasuje tę samotną ruinę.

Ostatniemi czasy kupił stare zamczysko siewierskie p. Korwin-Piotrowski z Warszawy, zapewne w chlubnym zamiarze zabezpieczenia zwałisk przed zupełnym zniszczeniem. Tem się tłumaczy, że b. redaktor „Ziarna” podpisał przedmowę do swej książki o jezuitach „Dan na zamku siewierskim”. Ale jak można pisać na zamku, który nie posiada dachu? Chyba pod parasolem.

Mieszczanin siewierski, p. Wyderka, prawie dziewięćdziesięcioletni starzec, pamięta jeszcze dach na tym zamku i czasy, kiedy tutaj był inny Piotrowski, ostatni burgrabia zamkowy.

„Jednego razu burgrabia spożywał wieczerzę—są słowa opowiadacza — a w tem posłyszał głos z lochów: „p. Piotrowski, ty jesz, a ja cierpię”. Zapewne nikt nie weźmie za złe temu Piotrowskiemu, że przestraszony uciekł z zamku do miasta. Jest tu bowiem podanie o kobiecie żywcem pogrzebanej na zamku. Zawiązałem stosunki z zacnyń panem Nowakiem, aptekarzem, p. Bontanim, mistrzem wyrobów ceramicznych, z kanonikiem Grabowskim i ze wspomianym p. Wyderką, chodzącą kroniką Siewierza. W tem towarzystwie ożyły legendy i podania siewierskie: „Mieszczanie kupili byli raz białego wołu za ośm bitych, polecili złotnikowi, a-

by mu rogi pozłocił i wołu tego powiedli w darze na zamek biskupi. Biskup (podobno Padniewski), przyjął dar i w nagrodę zniósł mieszczanom cztery dni pańszczyzny do żniwa” („Zniósł im także powaby i inne”.)¹⁾

Dzięki pobytowi biskupa na zamku siewierzanie korzystali z przywileju tak zwanej „profesorki”, to jest mieli prawo wysyłać synów do akademii i kształcić ich na profesorów. „Ostatni akademicy z siewierzan byli: jakiś Majcherczyk i Zieliński. Pierwszy był prezydentem w Radomiu, drugi—rewizorem w Rawie, a obaj kończyli akademię za Turskiego”.

¹⁾ „Powaby“ jeden z rodzaju danin i powinności poddańczych. (p. red.).



WNĘTRZE RUIN ZAMKU W SIEWIERZU

fol. L. Ostaszewski.



Dawnymi czasy Siewierz słynął ze swoich garnków i tutejsi garncarze dawali po cztery kopy garnków na zamek. Ale i pijaństwo musiało być znaczne, skoro p. Wyderka wspomina o siedemnastu browarkach, istniejących współcześnie.

— „A powiedz nam panie Wyderka o dawnych burmistrzach!”

— „A co gadać o tych tani!” Jednakże po chwili milczenia zaczął mówić: — „Ten wielki i gruby burmistrz Ożarówski wypijał trzy garnce wina na raz... Kiedy zaś przejeżdżał komorę i kazali mu cło od wina zapłacić, duszkiem wypił całą baryłkę, że niby w brzuchu wolno przewozić... Pewno było z pięć, sześć sześć garnce. A do kościoła, to go dwaj policyjanci prowadzili pod ręce, bo był taki gruby, że sam nie mógł chodzić”.

W swoim czasie pan Wyderka otrzymał nagrodę na wystawie rolniczej za pług własnego wynalazku. „Potem pisali o mnie w gazetach, że okutego w żelaza Goliata pobił prosty Dawidek”. Odzywam się: „Powiadają, jakoby w Siewierzu było bardzo surowe prawo na złodziejów”. — „Oho, ścinali tu i wieszali! Raz skazano takiego, co krał kapustę i drugiego jeszcze. Ścili im obu głowy, a tu przychodzi ulaskawienie... Bądź zdrów hollenderski śledziu! Koły po szubienicy jeszcze można wiedzieć w lesie na Rejentowskim wale. Był tu jeden Zieliński, który słupy ze starej szubienicy

zwiózł sobie do domu na opał. Jeno to nie ten akademik Zieliński”.

Ma surowy pod względem prawnym Siewierz jeszcze inną legendę o kacie, który przyjechał, aby ściąć czterech przestępców karnych osądzonych i skazanych. Tymczasem w więzieniu znajdował się jednocześnie jeszcze wcale nie sądzony przestępca; tylko sędziowie przypuszczali, że i nań wyrok śmierci spadnie. Otóż pan kat, ażeby uniknąć trudów powtórnej podróży do Siewierza, razem z czterema winowajcami ściął i tego piątego.

Jest tu także podanie świeższej daty, jakoby głośny w swoim czasie Metternich, uchodząc z Wiednia, nocował w Siewierzu u księdza kanonika Nieciaka.

I tak w Siewierzu gospodarne, zamożne i mądre mieszczaństwo pielęgnuje liczne mity, podania, które gdzieindziej zamarły. Niezależnie od tych dobrych stron swoich siewierzanie niszczyli mury pięknego zamku, poszukując pieniędzy. Dostyc też przejść się po mieście, rozpatrzeć po domach, podwórkach, aby spostrzedz ciosy, z zamku wywleczone i obecnie oddające najrozmaitsze użytki. Nie są to widać czysci potomkowie tych samych siewierzan, u których na ratuszu bywały sławne niegdyś reduty. „Ratusz też dyabli wzięli—mówi pan Wyderka — bo takie szelmy nie chcieli dać składek, żeby stary budynek naprawić”.

Adolf Dygasiński.



U ŹRÓDEŁ WISŁY. 6)

DOLINA GOŚCIEJOWSKA.

Od kościoła ewangelickiego dwadzieścia pięć minut w górę Wisły napotykamy mostek, a tuż przed nim od lewej strony wpada do rzeki potok Gościejowski, przepływający przez dziką i bardzo piękną dolinę Gościejowską.

Po obu stronach doliny wznoszą się łagodne góry, pokryte lasami świerkowymi i bukowymi. Potok wiję się, przebywamy ciągle mostki i widzimy groble, pobudowane z wielkich głazów w poprzek koryta dla wstrzymania zbyt gwałtownego pędu wód podczas deszczu. Pełno tutaj uroczych zakątków. Osady góralskie z chatami kurnymi

urozmaicają nam widoki, zmieniające się co chwila. Odwracając się, widzimy z tyłu, górujący nad okolicznymi górami Mały Stożek o łagodnie zaokrąglonym wierzchołku lesistym.

Im dalej się posuwamy w górę potoku, tem dziksza i węższa staje się dolina. Nareszcie wступujemy w las. Od tego miejsca, przeszedłszy jeszcze paręset kroków, można się wrócić.

Spacer to niedługi, na dwie godziny, a bardzo zajmujący. Dolina Gościejowska jest godna stanąć w jednym rzędzie co do piękności z doliną Dziechcińską.

Naprzeciwko hotelu, z prawej strony, trochę powyżej uchodzi do Wisły potok Partecznik,



Trzeba przejść most naprzeciwko Piasta, skrócić na prawo, i ścieżką koło mlyna iść drogą, która się stąd otwiera. Droga ta, pnąca się nieznanie w górę, idzie równolegle do łożyska potoku, doliną tegoż, zwaną Partecznik. Wydostawszy się cokolwiek wyżej, mamy ładny widok na Wirch Skalnity, górujący po nad hotelem, na Mały i Wielki Stożek, dźwigający w niebo swój ostry szczyt.

Droga prowadzi dalej przez las bardzo malowniczy, pełny pięknych ustroni.

Przechadzka zabiera nam bardzo mało czasu, a dostarcza żywej przyjemności. Powinniśmy o niej pamiętać.

DOLINA KOPYDŁOWSKA.

Ujście tej doliny znajduje się niedaleko ujścia doliny Dziechcińskiej, koło mostu dużego, prowadzącego z lewego na prawy brzeg Wisły.

Kopydłowska dolina, przetrzynięta potokiem zwanym Kopydło, przynajmniej w dolnej swej części nie przedstawia się tak korzystnie, jak wyżej opisane doliny, dopiero dalej nabiera charakteru. Przez nią prowadzi droga do Istebnej.

Minąwszy dolinę Dziechcińską, idziemy prosto przed siebie. Po lewej ręce na skraju widel, utworzonych przez Wisłę i potok Kopydło, gdzie góra Kozieniec zniża się tworząc cypel, znajduje się cmentarz t. zw. graniczek. Położenie tego przybytku zmarłych jest pod każdym względem piękne. Nic dziwnego, że wiele osób nawet z pośród przyjezdnych lubi tutaj zajść, żeby spędzić parę chwil na rozmyślaniach.

Potok kryje się po za zieloną ścianą wierzb koszykarskiej, którą tutaj obsadzają brzegi dla ochrony przed wezbranami wodami. Dolina ma dno łagodnie pochyłe i jest dogodnym spacerem dla osób nie lubiących piąć się po spadzistościach.

Zamiast jednak iść dalej doliną, lepiej jest po za willami skrócić na drogę prowadzącą nieco pod górę na lewo i laskiem przejść znowu do doliny Wisły, do tartaku, skąd przez mostek dosta-

jemy się na szosę i już doliną Wisły wracamy do domu.

Jeżeli jednak chcemy koniecznie zwiedzić dolinę, to idziemy dalej, mając po prawej stronie górę Kobylę (802 m.) po lewej zaś Koziniec (775 m.). Ten ostatni na trzecim km. zbliża się do samej szosy, która dalej staje się coraz bardziej uciążliwa, aż do przełęczy Hubalonki, skąd się odkrywa widok na dolinę rzeki Olzy, płynącej od wschodu ku Cieszynowi. Najwyższy punkt szosy leży mniej więcej o 7 km. od Wisły, stamtąd do Istebnej (wsi) prawie drugie tyle.

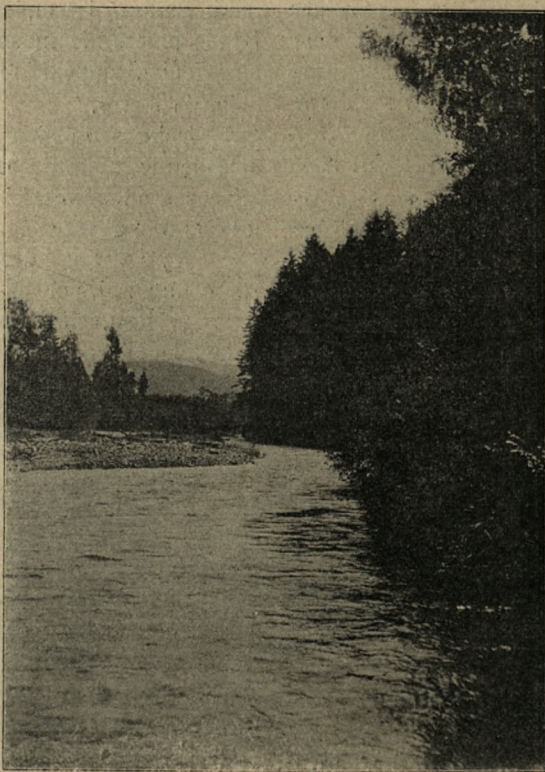
Idąc doliną Kopydłowską aż do szkoły, spostrzegamy potok Łabajnis, wpadający z lewej strony do potoku Kopydła a płynący bardzo piękną, rozległą doliną tego samego nazwiska.

DOLINA JAWORNICKA.

Każda dolina posiada tutaj swoją odrębną fizyognomię i swoje powaby. Jawornicka jest nieduża, ciągnie się bowiem tylko dwa km., ale stanowi niezmiernie przyjemny kącik. Leży ona w przeciwnej stronie, licząc od hotelu; trzeba więc iść do niej w dół Wisły do góry Bukowej.

Naprzeciwko tej góry, z lewej strony, wpada do Wisły potok Jawornicki. Przechodzimy po moście pomiędzy zagrodami góralskimi a szosą i zapuszczamy się w głąb. Potok jest uregulowany, aby nie sprawiał szkód, przez co utracił w pewnej części swój dziki charakter. Za to można się natrzeć malowniczymi zboczom górskim otaczającym dolinę i niezmiernie ciekawym chatom góralskim. Stara jest zwłaszcza chata, gdzie obecnie mieści się karczma. Trochę dalej stoi nowy budynek szkolny z małą wieżyczką.

Przez dolinę Beskiden Verein wytknął zielone znaki; trzymając się ich, można, na prawo się kierując po za szkołą, zajść na Czantoryę. Nareszcie dostajemy się do grupy zagród w końcu doliny. Droga idzie stąd pod górę na Beskid, przełęcz górską, wzniesioną 684 m. Na prawo



KRAJOBRAZ Z WISŁY

fol. W. Umiński.



i na lewo od przełęczy prowadzą dwie wytknięte ścieżki (znaki czerwone). Udając się w prawo, dostajemy się na szczyt Wielkiej Czantoryi, idąc zaś na lewo do stolicy górali, Jabłonkowa.

Trzymając się zaś żółtych znaków, przedostajemy się przełęczą pomiędzy górami Czantoryą a Soszowem do Nydka, i dalej do Bystrzycy, stacyi drogi żelaznej Koszycko-Bogumińskiej. Z przełęczy mamy piękny widok na dolinę Jawornicką.

Jeżeli chcemy rzucić okiem i na przyległą stronę przełęczy, to trzeba ścieżką północną wzdłuż czerwonych znaków iść z kilometr grzbietem górskim. Stamtąd rozpościera się obszerny, rzadkiej piękności widok na dolinę Olzy i rozłożone w niej osady. Poza doliną spostrzegamy góry oddzielające ją od sąsiedniej doliny Morawki. Najwyżej z pomiędzy nich sięgają w niebo szczyty: Smerczyn—1019 m., Ostry—1043 m.; Ropica—1082 i Jaworowy—1032 m.

Z grzbietu albo wracamy tą samą drogą, którąśmy przyszli, albo też w razie odleglejszych planów udajemy się do wsi Nydka i do Bystrzycy albo Ustronia. Droga wiodąca przez wieś, spuszcza się w dolinę Głuchowy. Wieś posiada kościółek drewniany, szkołę, karczmę i leśniczówkę, postawioną na miejscu, gdzie dawniej wznosiły się ruiny starożytnego zamczyska. Znajdują się tutaj także kopalnie rudy żelaznej u stóp góry Praszywej.

Dodać należy, że grzbiet, skąd niedawno podziwialiśmy piękny widok, stanowi dział wód Odry i Wisły.

DOLINA TOKARNIA.

Minąwszy duży most na Wiśle naprzeciw kościoła katolickiego, schodzimy na prawo do ło-

zyska potoku Pinkasowa, płynącego rmalowniczą dolinką, utworzoną z prawej strony przez skłony góry Czerchli, z lewej zaś góry Bukowe pokryte starym, pięknym lasem bukowym. Po obu stronach potoku biegną ścieżki. Najlepiej uczynimy, wybierając odrazu prawy brzeg potoku. Mijamy zagrody góralskie i posuwamy się ciągle pod górę łagodnie podnoszącą się ścieżką. Droga tą lasem i pastwiskami dostaniemy się niezadługo na przełęcz, czyli jak ją nazywa lud miejscowy na „beskskid”, leżący pomiędzy dwiema sąsiednimi górami: Bukową i Kamiennym. Ponieważ rośnie tutaj las, przeto nie można nic zobaczyć. Ale idźmy nieco dalej, dopóki nie ujrzymy u swoich nóg doliny Tokarni.

Dolinka ta niezbyt szeroka, przedstawia się niezmiernie zajmująco. Jest tu porozrzucanych kilka zagród góralskich, pomiędzy niemi gospoda, utrzymywana przez gazdę nazw. Drozd.

Wyższa część doliny jest najładniejsza. Koło szkoły ludowej, położonej romantycznie pod ścianą czarnego lasu, skręcamy na lewo. Jest to już t. zw. Dobka należąca do gm. Ustronia. Dolina rozszerza się. Po prawej ręce mamy zbocza góry Orłowej (766 m.) po lewej zaś Oblaziec i górę Oborę.

Idąc doliną, docieramy w końcu do Wisły, do której uchodzi towarzyszący nam ciągle potok Dobka. Od grupy zagród trzeba iść nie w prawo drogą, bo ta zaprowadziłaby nas na Polanę i musielibyśmy wędrować dwa km. w dół Wisły do mostu, ale na lewo pomiędzy domami dostajemy się do szosy, wiodącej do Wisły. Na wycieczkę powyższą z odpoczynkiem półgodzinnym trzeba trzech godzin czasu.

(CDN)

Władysław Umiński.





Japonia i japończycy. (6)

Kilka wrażeń i rozmyślań z podróży na Daleki Wschód.



SLUŻEBNA BOGINI
ŁASKI

nazwany Swadeisz).

Jakimi drogami pójdą w najbliższej przyszłości chińczycy i hindusi, trudno dziś przewidzieć; co do Chin uważam za pewne niemal, że już się nie dadzą porwać ślepej nienawiści, której plony zbierała Europa sownie aż do ostatniego lat dziesiątka; walka natomiast z nałogiem opiumowym z jednej strony, a z drugiej strony energiczne zabiegi o wykup koncesji kolejowych i przemysłowych z rąk europejskich, uwieńczone do tej pory niezgorszym skutkiem, dowodzą, że w Chinach lekcyca udzielona przez Japonię nie poszła w las.

Na takim tle rozwija się i wzbiera fala, którą zdawna w Europie nazwano niebezpieczeństwem żółtym. Ale łatwe a intratne powodzenia oręża europejskiego w Chinach, brak wyraźnych klęsk w obrotach handlowych między potęgami europejskimi a azyatyckim orientem spowodował w ostatnich latach pewne uspokojenie na temat niebezpieczeństwa żółtego. Poważne, przynajmniej z zachowaniem wszelkich pozorów powagi wygłoszone sądy (Weulersse, *Le Japon d'aujourd'hui*) głosiły zupełne ze strony wschodu azyatyckiego dla Europy bezpieczeństwo. Przemysł japoński został przedstawiony jako karykatura europejskiego, sztuka jako produkt ciepłoty, ludzający oczy, mrówcza praca japończyka została scharakteryzowana jako wysiłek niewolnika. „Jakże, wołano emfaticznie, może praca wolnego robotnika Zachodu uleść walce z pracą nędzną i niewolniczą Wschodu?” Po-

cieszano się wreszcie, że w miarę bardziej ożywionego obrotu między Wschodem i Zachodem japończyk zasmakuje w zbytku europejskim, wywóz tych artykułów tedy z Europy wzrośnie, w parze zaś z tem podrożeje w Japonii cena pracy, degeneracya narodu do zbytku nie zwyczajonego poczyni zatrważające postępy, a tem samem wszelka obawa konkurencyi handlowej, owego sedna niebezpieczeństwa żółtego zniknie zupełnie.

Tak może rozumować tylko członek społeczeństwa europejskiego, który ma oczy zupełnie zamknięte na przepaść, dzielącą społeczeństwo Dalekiego Wschodu od społeczeństw europejskich. Dla Europy stał się handel wszechświatowy nerwem jedynym życia, stał się jedyną religią, fetyszem raczej. Wszystko, co się dzieje dziś w Europie, to nie z woli ludu, któremu dano wszelkie pozory władzy, lecz z woli i na pożytek potentatów stali, bawelny czy kwasu siarkowego. Tylko magazyny wypróżniać, towar ładować i za morze! Wtedy ceny pracy idą w górę, zbytek rośnie i tuczy inną tylko drogą potentatów kapitału. A gdy się coś w tej maszynie obrotowej popsuje, gdy magazyny stali stoją pełne, wtenczas wszelkie pozory władzy dzierżący lud przyzna, że wojna w południowej Afryce, Ameryce, czy choćby między sobą jest nieunikniona i... uchwała ją!

W społeczeństwach wschodnio-azyatyckich jest inaczej! Przywykłe od lat tysięcy do trybu życia, który europejczyk nazywa półgłodem, innego życia niemal nie znające, przez stały rozrost ludności zagrożone jeszcze gorszą przyszłością,—jest dla nich ekspansya terytoryalna kwestyą istnienia. Słabiej zaludniona Korea czy Mandżurya musiały się stać kością niezgody chińsko-japońskiej. Niezgodę tę i nieporozumienie Europa, żywiąca wreszcie z innych względów do tych samych krain niewątpliwy apetyt, zrećnie i stale podnieca. Mimo tej drażliwej kwestyi o ziemię nie wątpię ani chwili, że w szczerą jakiegokolwiek roli Europy na Wschodzie ani Chiny, ani tembardziej Japonia nie wierzy, i że ten trzeci, gdy się zbyt natarczywie między sporne strony mieszać będzie, spotka je pogodzone.

Obok walki o ziemię toczą społeczeństwa wschodnio-azyatyckie, a przedewszystkiem Japonia jeszcze walkę na polu przemysłowym i handlowym. Gdy walka o ziemię, która jest kwestyą życia, wymaga czasu i konjunktury politycznej, tedy konkurencyja komunikacyjna i handlowa jest do cza-



su równie kwestią życia, jak walka o ziemię. Ale w tym surogacie walki o ziemię klęski Japonii ponieść nie wolno, ona musi w każdym roku zdobyć w konkurencji handlowej zyski, albo naród musi swą stopę życiową, i tak już bardzo skromną, jeszcze silniej ograniczyć. A jest to walka konkurencyjna straszna; wszak toczy ją Japonia z największymi potentatami Europy, wszak toczy ją nieprzygotowana materyalnie, ciągle podczas walki braki przygotowania uzupełniając.

I oto naturalne jest, że naród z takim doskonałym ale tylko fizycznym i psychicznym przygotowaniem, a znajdujący się w takiej sytuacji, nie obróci pierwszych swoich sukcesów na zabawy i zbytki... to są płonne nadzieje, jeśli Europa na tem coś buduje. 1) We wszystkich artykułach pokarmowych, a zwłaszcza we wszystkich używkach, a więc pokarmowych artykułach zbytku, wykazuje przywóz w ostatnich latach stały i gwałtowny spadek. Wzrost szalony natomiast wykazuje przywóz artykułów i konstrukcji żelaznych (przeszło 400 procent w dziesięcioleciu 1899—1908), a przedewszystkiem maszyn (przeszło 900 procent w dziesięcioleciu), a każda maszyna sprowadzona do Japonii to podcięcie nerwu europejskiego eksportu na wschód. Wszystkie objawy produkcyjnej działalności Japonii wykazują stale wzrost zarówno olbrzymi jak i bezprzykładny.

Twierdzenie to musi być uzasadnione, więc na zakończenie muszę wyruszyć choćby z kilku najbardziej wymownymi cyframi.

Przemysł współczesny opiera się na robotniku, kapitale i produktach górniczych. Kwestya robotnika japońskiego nie powinna być zdaniem mojem przedmiotem dyskusji: przedstawia ona chyba wszechstronny szczyt doskonałości. Produkcya górnicza natomiast to pięta Achillesowa japońskiej

1) Nic tak nie ilustruje etycznej doskonałości i wysokiego rozumu społecznego japończyka, jak statystyka sporów cywilnych i rozpraw karnych, przeprowadzonych przez sądy japońskie.

	1902	1903	1904	1905	1906
Suma rozpraw cywilnych	200.286	221.533	203.618	161.227	147.090
Suma rozpraw karnych	125.135	105.374	88.436	67.553	71.243

Jest to nietylko znikoma liczba rozpraw; w Niemczech, analogicznych Japonii co do zaludnienia, odbywa się rocznie z górą 2 miliony rozpraw cywilnych, a 1/2 miliona rozpraw karnych. Co jest jednak unikiem historycznym, to gwałtowne zmniejszanie się sporów w narodzie, który przechodzi w każdej chwili przewrót społeczny i ekonomiczny, którego stosunki tak niepospolicie się wikłają, jednocząc średniowiecze z najświeższą nowożytnością.

sytuacji gospodarczej, to ubóstwo przyrody, na które człowiek rady nie znajdzie. A jednak szukając i zabiegając starannie poczyniła Japonia i w tym kierunku niejaki postępy. Przed laty jeszcze ośmiu pokrywała Japonia zaledwie dwudziestą część swego zapotrzebowania żelazem krajowem, dziś (1908) pokrywa już trzecią; podobnie było z węglem przed niedawnym czasem, dziś jednak rozwinięta swą produkcję w nowoodkrytych polach węglowych, trzykrotnie w ciągu lat 15, pokrywa Japonia wszystkie swoje potrzeby a nawet eksportuje węgiel.

Słynne zładowa pokłady miedzi w nowożytniej gospodarce japońskiej doczekały się również znakomitego wyzyskania.

Kapitał nie przyjął tych form organizacyjnych i rozmiarów, które towarzyszą rozwojowi przemysłu europejskiego, ale wpływy kapitału ku celom przemysłowym rosną potwornie, a jednak bez żadnych objawów chorobliwych. Dość powiedzieć, że kapitał wplacony w przedsiębiorstwa przemysłowe wzrósł w ostatnich 12 latach pięciokrotnie, ale rezerwy wzrosły równocześnie dziewięciokrotnie?

Na takich to podstawach zakwitł w Japonii wielki przemysł fabryczny, z którego produktami może wystąpić i już teraz występuje konkurencyjnie. Wystarczy, gdy zwrócę uwagę na stan przemysłu tkackiego. Dziesiątki lat zaopatrywała Europa Japonię w wyroby bawełniane, z końcem ubiegłego stulecia jednak rozpoczęła się w Japonii gorączkowa akcja, zmierzająca do położenia tym stosunkom kresu; przywóz zagraniczny wstrzymał się nagle w rozwoju, a dziś wywozi Japonia w świat artykułów tkackich (z wyłączeniem jedwabiu) za sumę 70 milionów yenów (rubli), a tem samem weszła już w rzędy pierwszorzędných potentatów bawełnianych w handlu światowym. Nie będzie pozbawiony interesu fakt, że wartość produkcji przemysłu bawełnianego Japonii przewyższa już pokaźnie wartość zdawna sławnego przemysłu jedwabnego, któremu dziś pozostało już tylko, pokaźne co prawda, pierwszeństwo w eksporcie. Japonia nie zadowala się jednak tym powodzeniem, a stale jeszcze i dziś rosnący przywóz maszyn tkackich z Anglii, Francji i Niemiec do Japonii dowodzi, że Europa musi być w najbliższym czasie przygotowana w dziedzinie światowego handlu tkackiego jeszcze na różne niespodzianki.

Do Japonii przywieziono 1905 1906 1907 1908
masz. tkackich za sumę 1,8 2,7 4,6 8,8
milionów yenów.

(D.N.)

Dr. Eugeniusz Romer.





Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.



Doroczna wycieczka Towarzystwa Krajoznawczego z Królestwa na Litwę odbyła się zgodnie z zapowiedzianym programem pod kierunkiem prezesa Towarzystwa, p. Kazimierza Kulwiecia, i trwała od 24.VI do

3.VII. Uczestniczyło w niej 46 osób. Po drodze, dzięki uprzejmości Józefa hr. Tyszkiewicza, który zabrał koniami swymi uczestników wycieczki z Landwarowa do majątku swego Zatrocza, wycieczka zwiedziła Troki i piękne ruiny zamku Trockiego na wyspie rozległego jeziora położone. Tu prof. W. Jacuński udzielił zwiedzającym objaśnień historycznych, dotyczących założenia i wybitniejszych wypadków dziejowych zamku trockiego. Z gościnnego pałacu trockiego wycieczka udała w dalszą drogę — do Libawy.

W Libawie, na skutek starań inżyniera Witolda Grabowskiego wycieczka otrzymała do swego rozporządzenia specjalny statek, na którym wyjechało na otwarte morze i zwiedzono porty—handlowy i wojenny.

Przedstawiciele władz portowych oprowadzali zwiedzających, zaznajamiając ich z wewnętrznymi urządzeniami portu, doków i budową podlegającego naprawie okrętu.

Z wyżyny nadbrzeżnej latarni morskiej napawali się krajoznawcy rozległą panoramą Libawy i jej okolic: falującego morza, gładkiego jeziora i okalających je borów.

Postój i nocleg w Libawie wycieczka miała dzięki staraniom ks. proboszcza I. Wizborem i ks. prefekta Leona Kulwiecia w szkole miejskiej i przy stowarzyszeniu św. Zyty.

Nazajutrz 27.VI wczesnym rankiem ruszyła wycieczka długim szeregiem wasągów do Połongi. Większa część uczestników wycieczki oglądała morze po raz pierwszy — to też cały dzień trwająca droga, ciągnąca się na znacznej przestrzeni samem wybrzeżem morskiem, nie tylko nikogo nie znużyła, lecz przeciwnie — zaliczona być może do najprzyjemniejszych etapów całej wycieczki.

Do Rucawy, o 4 mile położonej od Połongi, po wycieczkę przysłał konie Feliks hr. Tyszkiewicz, dziedzic Połongi, który odtąd przez cały czas pobytu wycieczki nad Bałtykiem nie przestawał swym gościom świadczyć gościnności i wszelkich ułatwień.

Gości warszawskich rozlokowano w willach zakładowych. Ordynujący tutaj lekarze dr. Andrzej Krysiński i dr. R. Skowroński i dyrektor zakładu Grabowski, towarzyszyli gościom przez cały czas pobytu wycieczki w Połondze, bądź oprowadzając ich po okazalszych willach i demonstrując urządzenia kąpielowe, bądź zarządzając wycieczki do najbliższych okolic— na „Birutę”, na „czapkę holenderską” do zakładu wyrobów bursztynowych i t. p.

Jak jedna krótka chwila minęły 2 dni pobytu nad „Białem Morzem” litewskim, (bałtas—biały) i z żalem rozstawano się z piękną Połongą, udając się w głąb łądu żmudzkiego — ku Telszom.

Jak w Libawie, tak i Połondze serdecznie i życzli-

wie witano gości warszawskich, jedynie tylko policja połonżańska nie okazała się względem nich uprzejma— domagając się od kierownika pozwolenia gubernatorskiego na organizowanie tak licznej wycieczki do i n n e j gubernii i utrzymując, że ostatni cyrkularz ministerjalny (dotyczący jak wiadomo procesji kościelnych i pochodów religijnych!) nakazuje uzyskiwanie specjalnych pozwoleń na wycieczki...

W Kretyndze gościli przyjezdnych Aleksandrowa hr. Tyszkowiczowa, oprowadzając ich w towarzystwie i przy pomocy miejscowego proboszcza ks. Kazimierza Petrejki po wspaniałym parku i po klasztorze.

Dalsza droga prowadziła na P ł u n g i a n y. Tu w pałacu swym podejmowała gości księżna Michałowa Ogińska, pokazując im osobliwości i pamiątki historycznej swej rezydencji. Wśród falistej, bogato lasami i zaroślami urozmaiconej krainy droga zbliżała do Telsz. Ostatni nocleg wypadł o 3 wiorsty od miasteczka, w majątku p. Perkowskiej—w Dżunginianach. W nieobecności gospodyni domu przyjmował gości p. administrator Gedwillo.

Na tuż obok Dżunginian leżącym „Kopcu Dżugasa” kierownik wycieczki opowiedział obecnym dzieje założenia Telsz i wybitniejsze wypadki historyczne, związane z tem miastem, utrzymując, że góra, z którą związana jest opowieść o legendowym Dżugasie, założycielu Telsz i pogromcy krzyżaków, jest typową P i l k a l n i ą, tak ze względu na swe położenie topograficzne jak i na strukturę oraz rozmiary (75 kroków × 38 kroków). Na miasteczku i stacyi kolejowej Więszunianach skończyło się zwiedzanie Żmudzi.

W drodze powrotnej do Warszawy wycieczka zatrzymała się na jeden dzień w Wilnie, zwiedzając osobliwości i zabytki tego miasta.

Do Warszawy wjeżdżali uczestnicy tej pięknej wycieczki pełni jak najpodnioslejszych wrażeń wyniesionych z uroczej nadmorskiej Połongi, ze „Żmudzi Świętej”—świętej dla mnóstwa kapliczek i tak bogatych w swej różnorodności kształtów krzyżów podróżnych, świętej dla dziwnie łagodnych pełnych spokoju i głębokiej powagi krajobrazów, świętej—dla przebytych bez liku krwawych dziejów i cierpień odwiecznych...

Wracali — pełni wdzięczności dla wszystkich tych obywateli Żmudzi Świętej — tak świeckich jak i duchownych, tak możnych jak i maluczkich, którzy gości z nad Wisły otwartem i gorącym przyjęli sercem.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

Czasopiśmiennictwu naukowemu przybywa w Warszawie nowy towarzysz. Od 1 sierpnia r. b. wychodzić będzie w ilości 10 zeszytów rocznie *W e k t o r*, czasopismo matematyczno-fizyczne, pod redakcją p. Stanisława Kalinowskiego, kierownika pracowni fizycznej Muż. Przem. i Roln. Przeznaczony przeważnie dla naukowców i miłośników matematyki, fizyki i astronomii, „Wektor” mieć będzie na celu metodykę nauk matematycznych, podając zarazem artykuły, informujące wogóle czytelnika o rozwoju nauk matematycznych, wiadomości o literaturze przedmiotu, kronikę naukową,



oraz tematy do zadań i wypracowań. Pismo będzie ilustrowane, przedpłata zaś wynosić będzie: w Warszawie rb. 5, z przesyłką pocztową rb. 6. rocznie.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

Polska przedhistoryczna: III. Siedziba paleolityczna na Górze puławskiej (z mapą geologiczną, 2 tablicami i 2 rysunkami w tekście), opracował S. J. Czarnowski. Warszawa-Kraków, 1911. 8-ka w., str. 20, rb. 1 kp. 35.

Praca ta obejmuje wyjątki i streszczenie odnośnych części rozprawy p. N. Kriształowicza, mało znanej dotychczas, p. n. „Posłretetyczny obrazowania w okrestnostiach Nowo-Aleksandrii”. W rozprawie tej zostało bardzo gruntownie rozpatrzone i przedstawione tło geologiczne, mianowicie utwory miejscowe plejstocenu, wśród których badacz pomieniony odkrył nienaruszoną warstwę obejmującą szczątki siedziby paleolitycznej z okresu międzylodowcowego.

Chronologiczne następstwo tworzenia się warstw poszczególnych plejstocenu i odnośna budowa geologiczna tarasów wybrzeży Wisły w miejscowości badanej zostały tu odtworzone z wielką ścisłością i bardzo umiejętnie. Załączona mapa geologiczna okolic Puław, plan większego przekroju naturalnego lewego brzegu Wisły pod Górą Puławską, oraz przekroje tarasów wybrzeży przyległych wyjaśniają wyraziście budowę i tworzenie pokładów tamecznych.

Położenie warstwy paleolitycznej nienaruszonej ściśle oznaczone i znakomicie wyjaśnione stanowi nader ważną wskazówkę chronologiczną, która w połączeniu ze szczątkami kostnymi zaginionej fauny i narzędziami łupanemi z krzemienia rzuca silne światło na ewolucję przedhistoryczną owych stron naszego kraju.

Opracowanie polskie tych badań stanowi dla turystów zwiedzających malownicze wybrzeża Wisły w okolicy Puław i Kaźmierza przewodnik praktyczny, wskazujący dokładnie miejsca, gdzie znajdują się olbrzymie kości mamutów, nosorożców włochatych i innych zwierząt wymarłych okresu paleolitycznego.

Zeszyty poprzednie wydawnictwa „Polski przedhistorycznej” obejmują:

1) Literatura przeddziejów Polski z odnośną bibliografią, 2) Opis doliny Bętkówki i jej zabytków przeddziejowych. 3) Jaskinie okolic Krakowa i Ojcowa z mapą jaskiń ogólną, mapami ich szczegółowymi i widokami.

□□□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Akademycki Związek turystyczny we Lwowie postanowił uczcić pamięć Klimka Bachledy, przewodnika tatrzańskiego, wmurowaniem tablicy pamiątkowej na Małym Jaworowym, w miejscu, w którym d. 6 sierpnia r. z. Bachleda zginął, szukając zaginionych turystów. Klub wydał odezwę, wzywającą do składek pod adresem: Akademycki klub turystyczny, Zakopane, Krupówki 51. Pozostała z kosztów tablicy kwotę klub przeznacza na rzecz rodziny ś. p. Klimka Bachledy.

Jak już doniosły depeze, wojsko ustąpiło ostatecznie z Wawelu i oddało krajowi zajęte jeszcze przez siebie budynki. Obecnie, po tylu latach, na wzgórzu wawelskim zapanował majestatyczny spokój; przestały brzmieć trąbki żołnierskie, nie słychać już słów komendy, nie snują się mundury. Opróżniono obecnie szpital wojskowy, znajdujący się w gmachu głównym, i oddział oczny, będący w jednym z bocznych budynków, wycofano wozy wojskowe, stojące na dziedzińcu, wreszcie opróżniono mieszkania zajmowane w skrzydle zachodnim przez różnych podoficerów. Obecnie poza dawnym rejonem wojskowym mieszka na Wawelu tylko duchowieństwo katedralne. Zupełne opróżnienie Wawelu nakłada na krajowy komitet restauracyjny nowe zadania co do przeznaczenia odzyskanych budynków. Podniosły się życzenia, aby dawny szpital przeznaczyć na cele Muzeum narodowego. W tym celu wystosowała Rada m. Krakowa petycję do urzędu ochmistrzowskiego w Wiedniu. Na razie budynki pozostaną w stanie dotychczasowym; przedewszystkiem przeprowadzona będzie podjęta już restauracja zamku królewskiego. Na razie toczą się roboty około odnowienia krużganków i wymiany drewnianej konstrukcji dachu na żelazną. Komitet restauracyjny zbierze się w jęzieni.

Od Administracji.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas odnowić przedpłatę na II półrocze.

TREŚĆ: Jerzy Warchałowski.—Zjazd Miłośników ojczystych zabytków sztuki i historii w Krakowie; (z 2 ryc.) Stanisław Lenczewicz.—Przez Wyżynę Małopolską; (z 2 ryc.); Adolf Dygasiński.—Dwory zamki i pałace; 31 Siewierz (z 2 ryc.); Władysław Umiński.—U źródeł Wisły; (z 1 ryc.); Dr. Eugeniusz Romer.—Japonia i japończycy; (z 1 ryc.); Z Polskiego Tow. Krajoznawczego.—Z piśmiennictwa.—Nowe książki.—Kronika krajoznawcza.

Winietę tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i łąkał Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegolewski.—Klisy wykonane w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec